

KSIĄŻKA AUTORKI „BYŁA SOBIE RZEKA”



TRZYNASTA
OPOWIEŚĆ

DIANE
SETTERFIELD

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE THIRTEENTH TALE

Copyright © Diane Setterfield 2006
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2021

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracja na okładce i obwolucie: Alchena/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



List

Był listopad. Kiedy skręcałam w Laundress Passage, niebo zaczęło ciemnieć, choć nie było jeszcze tak późno. Ojciec już skończył pracę, pogasił światła w antykwariacie i opuścił żaluzje w oknach, ale żebym nie wracała po ciemku, zostawił włączoną lampę nad schodami do mieszkania. Przez szybę w drzwiach rzucała blask na mokry chodnik i gdy stanęłam na tym jasnym prostokącie, żeby przekręcić klucz w zamku, zobaczyłam list. Drugi biały prostokąt leżał na piątym stopniu od dołu, gdzie nie mogłam go przeoczyć.

Zamknęłam za sobą drzwi i schowałam klucz do antykwariatu w zwykłym miejscu, za *Prawami geometrii* Baileya. Przez trzydzieści lat nikt nie chciał kupić jego szarego tomiszcza. Czasami się zastanawiam, co sądzi o funkcji strażnika kluczy, jaką pełni. Wydaje mi się, że w jego zamierzeniu nie taki los miał spotkać dzieło, które pisał przez dwadzieścia lat.

List. Do mnie. To było wydarzenie. Sztywna gruba koperta, wypchana złożonymi kartkami, została zaadresowana w taki sposób, że na pewno sprawiło to listonoszowi sporo kłopotu. Chociaż charakter pisma – ozdobne duże litery z okrągłymi zawijasami – był staroświecki, w pierwszej chwili pomyślałam, że należy do dziecka. Wydawał się nieporadny. Litery, nierówne, albo zanikały, albo były niemal wryte na papierze. Złożonemu z nich mojemu imieniu i nazwisku

brakowało płynności. Każdą napisano oddzielnie – M A R G A R E T L E A – jakby stanowiła nowe zniechęcające wyzwanie. Ale przecież nie znałam żadnych dzieci. Wtedy doszłam do wniosku: to pismo kogoś niepełnosprawnego.

Zrobiło mi się nieswojo. Dzień czy dwa wcześniej, gdy spokojnie i na uboczu zajmowałam się swoimi sprawami, jakaś nieznana mi osoba – ktoś obcy – zadał sobie trud, żeby wypisać na tej kopercie moje imię i nazwisko. Kto taki myślał o mnie, gdy ja zupełnie nie byłam tego świadoma?

Wciąż w płaszczu i czapce, usiadłam na schodach, żeby przeczytać ten list. (Nigdy nie zabieram się do czytania, dopóki się nie upewnię, że bezpiecznie siedzę. Mam taki zwyczaj od czasu, gdy w wieku siedmiu lat siedziałam na wysokim murze i czytałam *Wodne dzieci* – opisy podwodnego życia tak mnie pochłonęły, że nieświadomie rozluźniłam mięśnie. Bynajmniej nie uniosły mnie wody, którymi byłam otoczona w wyobraźni, tylko spadłam na ziemię i straciłam przytomność. Wciąż wyczuwam palcami bliznę na czole, pod grzywką. Czytanie bywa niebezpieczne).

Rozerwałam kopertę i wyjęłam plik kilku kartek, mozolnie zapisanych tym samym pismem. W pracy nauczyłam się odczytywać rękopisy. Nie ma w tej umiejętności żadnego sekretu. Wymaga ona jedynie wprawy i cierpliwości. No i chęci wyrobienia sobie wewnętrzного oka. Kiedy czyta się rękopis, który został uszkodzony przez wodę, ogień, światło czy choćby upływ lat, oko powinno nie tylko śledzić kształt liter, ale także dostrzegać inne cechy charakterystyczne pisma. Prędkość, z jaką poruszało się pióro. Nacisk dłoni na kartkę. Odstępy i przerwy w trakcie pisania. Należy się odprężyć. Nie myśleć o niczym. Dopóki człowiek nie zacznie śnić, że jest jednocześnie piórem sunącym po papierze i łaskotanym przez nie papierem. Dopiero wtedy można przystąpić do czytania. Intencje piszącego, jego myśli, wątpliwości, pragnienia i przekaz – widzi się to wszystko tak wyraźnie, jakby się było samą świecą, rzucającą blask na kartkę, po której mknie pióro.

Nie to, żeby ten list wymagał podobnego wysiłku. Zaczynał się od powściągliwego „Szanowna Pani!”, dalej hieroglify szybko przechodziły w litery, słowa i wreszcie zdania.

Oto co przeczytałam:

Udzielalam kiedyś wywiadu dla „Banbury Herald”. Muszę go któregoś dnia odszukać, do biografii. Dziwny facet, ten, którego do mnie przystali. Właściwie chłopak. Wysoki jak dorosły mężczyzna, ale jeszcze wyraźnie nieopierzony. Skrepowany w nowym garniturze. Brązowym i brzydkim, przeznaczonym dla kogoś znacznie starszego. Kołnierz, krój, materiał – wszystko nie takie. Podobny garnitur mogłaby kupić matka dla syna idącego po skończeniu szkoły do pierwszej pracy, wyobrażając sobie, że chłopiec do niego dorósł. On jednak, zdejmując szkolny mundur, nie przestaje być chłopcem.

W jego sposobie bycia było coś szczególnego. Jakieś przejęcie. Gdy tylko go zobaczyłam, pomyślałam sobie: czego on będzie ode mnie chciał?

Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy kochają prawdę. Z wyjątkiem tego, że są nudnymi kompanami. Dopóki nie zaczną gadać o szczerości i uczciwości pisarskiej, jak niektórzy z nich mają w zwyczaju. To oczywiście działa mi na nerwy. Ale jeśli zostawią mnie w spokoju, nic złego z mojej strony ich nie spotka.

Irytują mnie nie tyle zwolennicy prawdy, ile sama prawda. Jaki z niej pożytek, jaką daje pociechę w porównaniu z opowieściami? Na co komu prawda w ciemności o północy, gdy wiatr ryczy w kominie jak niedźwiedź? Gdy w świetle błyskawicy na ścianie sypialni pojawiają się cienie, a deszcz stuka długimi paznokciami w okno? Na nic. Kiedy tężejesz w łóżku ze strachu i z zimna, nie spodziewaj się, że przyjdzie ci na pomoc zimnokrwista sucha prawda. Potrzebujesz pocieszenia w miękkich, ciepłych ramionach opowieści. Ukojenia, ukołysania przez kłamstwo, które daje poczucie bezpieczeństwa.

Niektórzy pisarze nie lubią udzielać wywiadów. Robią to niechętnie. „Wciąż te same pytania”, utyskują. No a czego się spodziewają? Dziennikarze to chałturnicy. Od pisania jesteśmy my, pisarze. To, że zawsze pytają nas o to samo, nie znaczy, że mamy to samo odpowiadać, czyż nie? Przecież żyjemy z wymyślenia historii. Dlatego ja udzielam co roku po kilkanaście wywiadów. W ciągu całego życia udzieliłam ich setki. Bo nigdy nie uważałam, że talent, aby kwitł, musi być trzymany w zamknięciu. Mój talent nie jest taki kruchy, żeby miały go zgnieść brudne łapy pismaków.

Kiedyś próbowali mnie podejść. Przeprowadzali śledztwo, przychodzili z kawaleczkiem prawdy w kieszeni, w odpowiednim momencie wyjmowali go i liczyli, że przestraszona tym, zdradzę więcej. Musiałam zachowywać czujność. Porwoli kierować ich w odpowiadającym mi kierunku – używać przynęty, żeby delikatnie, niezauważalnie zwabić ich ku ładniejszej historii niż ta, którą mieli na oku. Delikatna operacja. Oczy zaczynały im błyszczeć, powoli zwalniali uścisk, w którym trzymali tamten fragmencik prawdy, aż w końcu wysuwał im się z ręki i upadał, porzucony, gdzieś z boku. Ten sposób nigdy nie zawodził. Dobra opowieść zawsze jest bardziej atrakcyjna niż ułamek prawdy.

Później, kiedy zdobyłam sławę, wywiad z Vidą Winter stał się dla dziennikarzy czymś w rodzaju rytuału przejścia. Nie bardzo wiedzieli, czego się spodziewać, byliby zawiedzeni, gdyby musieli odejść, nie usłyszawszy żadnej historii, którą mogliby przekazać dalej. Zestaw krótkich pytań (Skąd pani czerpie inspirację? Czy pani bohaterowie są wzorowani na autentycznych postaciach? Ile jest w pani z jej głównego bohatera?), a im krócej na nie odpowiadałam, tym bardziej byli zadowoleni (Z własnej głowy. Nie. Nic). I wreszcie to, na co czekali, po co tak naprawdę przyszli. Na ich twarzach pojawiała się rozmarzenie, wyczekiwanie. Przypominali małe dzieci przed snem. A teraz pani, mówił każdy z nich. Niech opowie mi pani o sobie.

No więc opowiadałam. W gruncie rzeczy proste historie, całkiem zwyczajne. Tylko kilka nitek, splecionych w ładny wzór, tu jakiś wart zapamiętania motyw, tam kilka cekinów. Zaledwie skrawki z dna mojego worka z resztkami. Miałam ich setki. Ścinki z powieści i opowiadań, niedokończone wątki, poronione postacie, malownicze lokalizacje, które do niczego mi się nie przydały. Detale, które wypadły podczas redakcji. Potem już tylko kwestia dopasowania, zszycia brzegów – i gotowe. Kolejna nowiutka biografia.

Odbodźli uszczęśliwieni, ściskając w łapach notatki, jak dzieci ze słodyczami w rękach po urodzinowym przyjęciu. Będą mieli czym się pochwalić przed wnukami: „Któregoś dnia poznałem Vidę Winter i opowiedziała mi pewną historię”.

Wracając do tamtego chłopaka z „Banbury Herald”. Poprosił: „Niech mi pani powie prawdę”. Co to w ogóle za tekst? Spotykałam ludzi, którzy stosowali najróżniejsze fortele, żeby skłonić mnie do szczerości, i potrafię wyczuć takich na kilometr, ale coś takiego? Śmiechu warte. No bo na co liczył?

Dobre pytanie. Na co liczył? Oczy mu lśniły z przejęcia. Przyglądał mi się uważnie. Badawczo. Przenikliwie. Oczekiwał czegoś całkiem konkretnego, byłam tego pewna. Czoło miał wilgotne od potu. Być może coś zwęszył. Niech mi pani powie prawdę, prosił.

Doznałam dziwnego wrażenia, jakby przeszłość ożyła. Lekkie drgnienie poprzedniego życia w brzuchu, powodujące falę, która wezbrała w moich żyłach i sprawiła, że poczułam zimne pulsowanie w skroniach. I związane z tym upiorne podniecenie. Niech mi pani powie prawdę.

Rozważyłam jego prośbę. Zastanowiłam się nad nią, oceniłam możliwe skutki. Poruszył mnie ten chłopak, ze swoją bladą twarzą i płonącym wzrokiem.

„Dobrze”, odpowiedziałam.

Po godzinie wyszedł. Ciche, rzucone z roztargnieniem „Do widzenia” i żadnego spojrzenia przez ramię.

Nie wyjawiałam mu prawdy. Jak mogłabym to zrobić? Opowiedziałam mu historię. Biedniutką, nieefektowną. Bez ozdób, cekinów, zaledwie kilka spłowiałych lat, pozszywanych byle jak, z nadal strzępiącymi się brzegami. Z rodzaju tych, które tylko udają prawdziwe życie. Czy raczej to, co ludzie w swoich wyobrażeniach mają za prawdziwe życie, czyli coś zupełnie innego. Komuś z moim talentem nietrudno wyprodukować taką opowieść.

Patrzyłam za nim z okna. Włókł się ulicą, zgarbiony, z pochyloną głową, jakby każdy krok sprawiał mu wysiłek. Cała tamta energia, werwa, zapal zniknęły. Zabiłam je. Choć to przecież nie tylko moja wina. Powinien był wiedzieć, że nie należy mi wierzyć.

Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Tamto wrażenie – które czułam w brzuchu, w skroniach, w opuszkach palców – nie odstępowało mnie przez jakiś czas. Nasilało się i słabło wraz ze wspomnieniem słów tego chłopaka. Niech mi pani powie prawdę. „Nie”, odpowiadałam. Raz po raz. Nie. Ale nie chciało ustąpić. Zaktócało mi spokój. Więcej, niostło zagrożenie. W końcu odpartam ugodowo: „Jeszcze nie”. Westchnęło, wierciło się przez chwilę, aż wreszcie dało za wygraną. Na tyle, że uleciało mi z pamięci.

To było tak dawno. Trzydzieści lat temu? Czterdzieści? Może więcej. Czas płynie szybciej, niż się człowiekowi zdaje.

Ostatnio przypomniał mi się tamten chłopak. Niech mi pani powie prawdę. I to dziwne wrażenie wróciło. Coś we mnie rośnie, dzieli się i powiększa. Czuję to, w brzuchu, okrągłe i twarde, wielkości grejppfruta. Zabiera mi z płuc powietrze, wysysa szpik kostny. Zmieniło się przez ten długi okres uspienia. Początkowo słabe i uległe, stało się groźne. Odrzuca wszelkie negocjacje, nie chce rozmawiać, upiera się przy swoim. Nie przyjmuje do wiadomości odmowy. Prawda, powtarza, woła za chłopakiem, spogląda za nim. A potem zwraca się do mnie,

jeszcze bardziej ścisła moje wnętrze, skręca je. Zawarliśmy umowę, pamiętasz?

Już pora.

Proszę przyjechać w poniedziałek. Wysłę po Panią samochód – będzie czekał o wpół do piątej przed stacją w Harrogate.

Vida Winter

Jak długo siedziałam na schodach po przeczytaniu tego listu? Nie wiem. Ponieważ byłam jak urzeczona. Słowa coś takiego w sobie mają. We wprawnych rękach, gdy zręcznie się nimi operuje, potrafią nas zniewolić. Spowijają nasze ciało jak pajęczyna, a kiedy jesteśmy już tak zauroczeni, że nie możemy się ruszyć, przedostają się pod skórę, przenikają do krwi, paraliżują myśli. Czynią w nas swoją magię. Gdy wreszcie oprzytomniałam, mogłam się tylko domyślać, co działo się w mrokach mojej nieświadomości. Co ten list ze mną zrobił.

O Vidzie Winter wiedziałam bardzo niewiele. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, jakie określenia zwykle towarzyszyły jej nazwisku: ukochana autorka Anglików, Dickens naszych czasów, najślawniejsza żyjąca pisarka na świecie i tak dalej. Rzecz jasna, miałam świadomość, że jest popularna, jednak liczby, kiedy później je odszukałam, były dla mnie dużym zaskoczeniem. Pięćdziesiąt sześć książek wydanych w ciągu pięćdziesięciu sześciu lat, tłumaczona na czterdzieści dziewięć języków, dwadzieścia siedem razy znalazła się na pierwszym miejscu najczęściej wypożyczanych w angielskich bibliotekach autorów, na podstawie jej powieści nakręcono dziewiętnaście filmów fabularnych. Jeśli chodzi o statystykę, najczęściej dyskutowaną kwestią jest to, czy jej książki osiągnęły większą sprzedaż niż Biblia. Trudność polega nie tyle na określeniu, jak dużo jej książek do tej pory się sprzedało (ta liczba, w milionach, wciąż rośnie), ile na uzyskaniu wiarygodnych danych dotyczących Biblii: cokolwiek sądzić o słowie Bożym, informacje o jego sprzedaży są notorycznie

zmieniane. Liczba, która najbardziej mnie zainteresowała, wynosiła dwadzieścia dwa. Tytuł było biografów, którzy z braku informacji, śmiałości czy też zachęty ze strony pani Winter – albo wręcz na skutek jej gróźb – zrezygnowali z prób dowiedzenia się o niej prawdy. Wtedy jednak nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Wiedziałam jedno i tylko to zdawało się ważne: ile książek Vidy Winter przeczytałam ja sama, Margaret Lea? Ani jednej.

Zadrżałam wtedy na schodach, ziewnęłam i przeciągnęłam się. Wracając do siebie, zauważyłam, że pod moją nieobecność coś się u mnie w głowie pozmieniało. Z niechcianych odpadków, jakie stanowiła moja pamięć, zostały wydobyte i podetknięte mi przed oczy dwa wspomnienia.

Pierwszym była scenka z udziałem mojego ojca, która miała miejsce w antykwariacie. W pudle z książkami, które przysłano nam po porządkach w jakiejś prywatnej bibliotece, znajduję sporo powieści Vidy Winter. Nie mamy w ofercie współczesnej beletrystyki. „W przerwie na lunch zaniosę je do sklepu charytatywnego”, mówię i odkładam je na bok biurka. Ale jeszcze przed południem trzy z czterech znikają. Zostają sprzedane. Jedna księdzu, druga kartografowi, trzecia historykowi wojskowości. Twarze naszych klientów – blade, ale rozświetlone wewnętrznym ogniem miłośników książek – wyraźnie się rozjaśniają, gdy dostrzegają oni żywe kolory papierowych okładek. Po lunchu, po wypakowaniu, skatalogowaniu i wstawieniu książek na półki, gdy nie ma klientów, ojciec i ja czytamy, jak zwykle. Jest późna jesień, pada deszcz i szyby w oknach są zaparowane. W tle syczy piecyk gazowy; słyszymy go, choć nie rejestrujemy jego dźwięku, gdy tak siedzimy jedno przy drugim, razem i jednocześnie oddaleni od siebie o całe kilometry, każde z nas pogrążone w swojej lekturze.

– Zaparzyć herbaty? – pytam, wracając do rzeczywistości.

Brak odpowiedzi.

Parzę ją mimo to i stawiam filiżankę przy nim na biurku.

Godzinę później herbata, niewypita, jest już całkiem zimna. Parzę świeżą i znów stawiam na biurku filizankę. On zupełnie nie zwraca na mnie uwagi.

Delikatnie unoszę tom w jego rękach, żeby zobaczyć okładkę. To czwarta Vidy Winter. Opuszczam książkę i przyglądam się twarzy ojca. Nie słyszy mnie. Ani nie widzi. Przebywa w innym świecie, a ja jestem duchem.

To było pierwsze wspomnienie.

Drugie to obraz. Nad tłumem dojeżdżających do pracy ludzi, którzy czekają niżej, skarleli, widzę twarz: profil trzy czwarte, wycięty ze światła i z cienia. To tylko zdjęcie reklamowe na billboardzie w metrze na stacji, ale dla mnie ma niewzruszone dostojeństwo dawno zapomnianych królowych i bóstw wyrzeźbionych w skale przez starożytne cywilizacje. Przypatrywać się pięknemu łukowi oka, szeroko rozstawionym, gładkim kościom policzkowym, nieskazitelnej linii i proporcjom nosa to zdumieć się, że przypadkowość ludzkich odmian może wydać coś tak nadnaturalnie doskonałego jak to. Takie kości, odkryte przez przyszłych archeologów, zostaną uznane za artefakt – nie produkt natury z jej topornymi narzędziami, ale szczyt osiągnięć artystycznych. Skóra, która ozdabia te niezwykle kości, ma w sobie matową świetlistość alabastru; wydaje się bledsza w zestawieniu z wijącymi się miedzianymi włosami, ułożonymi z taką precyzją na skroniach i wzdłuż silnej smukłej szyi.

Jakby nie dość było tego nieprawdopodobnego piękna, są jeszcze oczy. Wyretuszowane wprawną ręką fotografa, tak że osiągają nie-ludzki odcień zieleni – zieleni szyby w oknie kościoła, szmaragdów czy też kandyzowanych owoców – spoglądają nad głowami podróżnych z całkowitą obojętnością. Nie potrafię powiedzieć, czy to zdjęcie budzi w innych pasażerach takie samo uczucie jak we mnie. Czytali książki Vidy Winter, więc może odbierają to inaczej. Mnie jednak, gdy tak patrzę na te duże zielone tęczówki, mimowolnie przypomina się wytarte powiedzenie, że oczy są zwierciadłem duszy. Ta kobieta –

pamiętam, że tak pomyślałam, spoglądając na jej niewidzący wzrok – nie ma duszy.

Tyle wiedziałam o Vidzie Winter tamtego wieczoru, gdy dostałam list. Niedużo. Choć jeśli się zastanowić, inni niekoniecznie musieli wiedzieć więcej. Bo mimo że wszyscy ją znali – jej nazwisko, twarz, książki – to w istocie nie znał jej nikt. Tak samo sławna ze swoich sekretów jak z opowieści, była prawdziwą zagadką.

A jeśli list nie kłamał i Vida Winter chciała ujawnić prawdę o sobie? Już samo to było wystarczająco dziwne, ale jeszcze dziwniejsza była moja następna myśl: Dlaczego miałaby ujawnić ją właśnie mnie?

Historia Margaret

Wstałam ze schodów i weszłam do pogrążonego w mroku antykwariatu. Nie musiałam zapalać światła, żeby odnaleźć drogę. Znałam antykwariat tak dobrze, jak wy znacie miejsca ze swojego dzieciństwa. Woń skóry i starych kart natychmiast podziałała na mnie kojąco. Przebiegłam palcami po grzbietach książek jak pianista po klawiaturze fortepianu. Każda z nich miała swoją własną nutę: szorstki, oprawny w płótno grzbiet *Historii sporządzania map* Danielsa, spękana skórzana oprawa sprawozdań Łakunina z posiedzeń sanktpetersburskiej Akademii Kartograficznej, sfatygowana teczka zawierająca jego mapy, ręcznie rysowane i kolorowane. Gdyby związać mi oczy i postawić mnie na którymś z trzech pięter antykwariatu, wodząc palcami po woluminach, umiałabym powiedzieć, gdzie jestem.

Mamy w Lea's Antiquarian Booksellers niewielu klientów, średnio zaledwie kilku dziennie. Ruch zwiększa się we wrześniu, kiedy po podręczniki na nowy rok akademicki przychodzą studenci, a potem w maju, po egzaminach, gdy je zwracają. Te książki ojciec nazywa migrującymi. W innych porach roku nie widzimy klientów przez całe dni. Każdego lata pojawia się jakiś dziwny turysta, który zboczywszy z utartego szlaku, pod wpływem ciekawości schodzi ze słońca i wstępuje do antykwariatu, gdzie od razu przystaje i mruga,

żeby jego oczy przyzwyczyły się do półmroku. Zależnie od tego, jak bardzo jest zmęczony jedzeniem lodów i oglądaniem łodzi na rzece, albo zatrzymuje się tu na chwilę ze względu na cień i spokój, albo nie. Przeważnie antykwariat odwiedzają ludzie, którzy usłyszeli o nas od znajomego znajomego i gdy znaleźli się w okolicach Cambridge, specjalnie tutaj zaszli. Wchodząc do środka, mają na twarzach wyczekiwanie i często przepraszają nas, że przeszkadzają. To miłe osoby, spokojne i przyjazne, jak same książki. Przeważnie jednak jesteśmy tu tylko ojciec, ja i księgozbiór.

Z czego oni żyją? – moglibyście pomyśleć, gdybyście zobaczyli, jak niewielu klientów do nas zachodzi. Ale antykwariat to – w nomenklaturze finansowej – jedynie nasze poboczne źródło dochodów. Właściwa działalność odbywa się gdzie indziej. Zarabiamy na kilku transakcjach rocznie. Przebiega to tak: ojciec zna wszystkich większych kolekcjonerów na świecie i orientuje się w większych światowych zbiorach. Gdybyście przyjrzeni mu się na aukcjach albo na targach książek, na które regularnie uczęszcza, zauważylibyście, jak często podchodzą do niego cisi, skromnie ubrani ludzie, którzy biorą go na stronę, żeby spokojnie zamienić z nim kilka słów. W oczach jednak nie mają spokoju. Czy wie coś o...? – pytają go. Może słyszał kiedykolwiek, czy...? I tu pada tytuł książki. Ojciec odpowiada ogólnikowo. Nie chce wzbudzać wielkich nadziei. Zwykle nic z tego nie wynika. Gdyby jednak czegoś się dowiedział... I jeśli nie ma wspomnianej książki, zapisuje sobie adres tego człowieka w zielonym notesiku. Potem przez dłuższy czas nic się nie dzieje. Ale w końcu – po kilku miesiącach, a nawet po roku, nigdy nie wiadomo – na innej aukcji czy targach książek, spotykając jakąś inną osobę, ojciec pyta ją, ostrożnie, czy... i znowu pada tytuł książki. Przeważnie na tym się kończy. Od czasu do czasu jednak po takiej rozmowie zaczyna się korespondencja. Ojciec spędza dużo czasu na pisaniu listów. Po francusku, niemiecku, włosku, niekiedy nawet po łacinie. Dziewięć razy na dziesięć odpowiedź zawiera

uprzejmą krótką odmowę. Ale zdarza się – z sześć razy do roku – że zapowiada podróż. Podróż, podczas której ojciec w jednym miejscu odbiera książkę i zawozi ją w drugie. Rzadko wyjeżdża na dłużej niż czterdzieści osiem godzin. I z tego żyjemy.

Sam antykwariat przynosi mało pieniędzy. To miejsce, w którym pisze się i odbiera listy. Miejsce, w którym spędza się czas, czekając na kolejne międzynarodowe targi książek. Według dyrektora banku, gdzie mamy konto, to luksus, na który ojciec może sobie pozwolić. Jednak w rzeczywistości – dla ojca i dla mnie, bo nie udaję, że rzeczywistość wygląda tak samo dla każdego z nas – antykwariat to samo serce całego biznesu. To azyl dla książek, bezpieczne schronienie dla tych wszystkich dzieł, napisanych kiedyś z taką miłością, których obecnie nikt zdaje się nie chcieć.

I miejsce do czytania.

A to Austen, B – Brontë, C – Charles, a D – Dickens. W tym antykwariacie poznawałam alfabet. Ojciec brał mnie na ręce i chodził wzdłuż regałów, tłumacząc mi układ alfabetyczny i jednocześnie ucząc mnie czytać. Tu także uczyłam się pisać: wpisywałam nazwiska i tytuły na fiszki, które nadal, po trzydziestu latach, znajdują się w naszym katalogu. Antykwariat był dla mnie domem i miejscem pracy. Był lepszą szkołą niż sama szkoła, a potem moją własną uczelnią. Stanowił moje życie.

Ojciec nigdy nie wcisnął mi do rąk żadnej książki ani też żadnej nie zakazał. Pozwalał mi buszować wśród nich, dokonywać własnych, mniej lub bardziej trafnych wyborów. Czytałam więc krwawe opowieści historyczne, które w dziewiętnastym wieku rodzice uważali za odpowiednie dla dzieci, i pełne duchów gotyckie historie, których na pewno za takie nie uważali. Czytałam relacje z męczących podróży przez niebezpieczne krainy, przedsięwziętych przez stare panny w sukniach z krynolinami, oraz podręczniki o dobrym wychowaniu i zasadach etykiety dla młodych dam z dobrych rodzin, książki z ilustracjami i bez nich, po angielsku, francusku i w językach, których

nie znałam, aby na podstawie garści znajomo brzmiących słów snuć w głowie własne wątki. Książki i książki.

W szkole nie mówiłam nic o tym swoim czytaniu w antykwariacie. W wypracowaniach mimowolnie stosowałam starofrancuskie słowa, które znałam ze starych podręczników gramatyki, ale nauczyciele uznawali je za błędnie napisane, choć nie zdołali ich ze mnie wykorzenić. Czasami na lekcji historii coś docierało do głębokich pokładów wiedzy, którą zdobywałam dzięki przypadkowym lekturom w antykwariacie. Karol Wielki? Zastanawiałam się: jak to, ten Karol Wielki? Z antykwariatu? Wtedy milkłam, bo to przelotne zetknięcie się dwóch światów, w innych okolicznościach tak bardzo odległych, odbierało mi mowę.

Między jedną lekturą a drugą pomagałam ojcu w pracy. Gdy miałam dziewięć lat, pozwolono mi owijać książki w brązowy papier i adresować do dalej mieszkających klientów. W wieku dziesięciu lat mogłam już zanosić je na pocztę. Jako jedenastolatka zwalniałam matkę z jej jedyne obowiązku w antykwariacie: ze sprzątanía. W chustce na głowie i fartuchu, jako bronii przeciwko brudowi, drobnoustrojom i generalnie złu zawartemu w „starych książkach”, zaciskając mocno usta i starając się nie oddychać, starannie odkurzała półki miotełką z piór. Od czasu do czasu pióra wzbijały obłok wymaginowanego kurzu, a wówczas cofała się, kaszląc. Nieodmiennie zaczepiała rajstopami o skrzynkę, która jako dowód na złośliwość książek stała akurat za nią. Zaproponowałam więc, że ją wyręczone. Chętnie zrzekła się tej pracy – później już nie było powodu, aby przychodziła do antykwariatu.

Gdy miałam dwanaście lat, ojciec zatrudnił mnie do szukania zaginionych książek. Za zaginione uznawaliśmy te, które widniały w katalogu zbiorów, ale nie było ich tam, gdzie powinny się znajdować. Mogły zostać ukradzione, choć częściej jakiś roztargniony klient, chodzący między regałami, odstawał je w niewłaściwe miejsce. Antykwariat składał się z siedmiu pomieszczeń zapełnionych książkami od podłogi po sufit – były ich tam tysiące.

– A przy okazji, sprawdź kolejność alfabetyczną – polecił mi ojciec.

Było to zajęcie na wieki. Zastanawiam się teraz, czy powierzając mi je, mówił poważnie. Chociaż tak naprawdę nie miało to znaczenia, bo podeszłam do nowego zadania z całą powagą.

Zajęło mi to całe lato, każde przedpołudnie, ale na początku września, kiedy zaczęła się nauka w szkole, wszystkie zaginione książki się znalazły, każdy przestawiony tom trafił na swoje miejsce. Mało tego – i z perspektywy czasu to wydaje się istotne – moje palce zetknęły się, choćby i przelotnie, z każdą książką w naszych zbiorach.

Jako nastolatka służyłam ojcu już taką pomocą, że w spokojne popołudnia mieliśmy niewiele do roboty. Po wypełnieniu porannych obowiązków, wstawieniu na półki nowych nabytków, napisaniu listów, gdy już zjedliśmy nad rzeką kanapki i nakarmiliśmy okruciami kaczki, wracaliśmy do antykwariatu, żeby poczytać. Z biegiem czasu moje lektury stały się mniej przypadkowe. Coraz częściej przechadzałam się po drugim piętrze. Literatura dziewiętnastowieczna, biografie, autobiografie, pamiętniki, dzienniki i listy.

Ojciec zauważył kierunek moich czytelniczych poszukiwań. Wracał z targów i wyprzedazy z pozycjami, które jego zdaniem mogły mnie zainteresować. Sfatygowane książeczki, przeważnie w rękopisach, o pożółkłych kartkach związanych wstążką albo sznurkiem, czasami oprawione ręcznie. Pożerałam je. Choć mój apetyt na jedzenie słabł, na książki pozostał niezmienny. Tak znalazłam swoje powołanie.

Nie jestem prawdziwą biografką. Nie jestem żadną biografką. Napisałam kilka krótkich prac biograficznych poświęconych mało znanym postaciom z historii literatury, i to wyłącznie dla własnej przyjemności. Zawsze ciekawili mnie ludzie, którym się nie powiodło, tacy, którzy za życia nie zaznali sławy, a po śmierci popadli w prawie całkowite zapomnienie. Lubię dokopywać się do nich i do ich życia, pogrzebanego w nieotwieranych dziennikach, spoczywają-

cych na półkach archiwów przez sto lat albo i dłużej. Przywracanie tchu ich wspomnieniom, niewznawianym od dziesięcioleci, sprawia mi największą radość.

Co jakiś czas postać będąca przedmiotem moich studiów jest na tyle ważna, żeby wzbudzić zainteresowanie miejscowego wydawcy uczelnianego, mam więc na koncie niewiele publikacji. To nie są książki. Nic tej miary. Raczej eseje, kilka lichych stroniczek w miękkiej oprawie. Jeden z nich, *Braterska muza* – na temat braci Landier, Jules’a i Edmonda, i dziennika, który razem pisali – zaciekał wydawcę książek historycznych i został włączony do zbioru esejów na temat pisarstwa i rodziny w dziewiętnastym wieku. To pewnie on zwrócił uwagę Vidy Winter, ale jego obecność w tej publikacji jest myląca. Znajduje się wśród dzieł naukowców i zawodowych pisarzy, jakbym była biografką z prawdziwego zdarzenia, a jestem tylko dyktantką, zdolną amatorką.

Życie ludzi – tych, którzy już zmarli – to moja pasja. A pracą jest prowadzenie antykwariatu. Nie zajmuję się sprzedażą książek – to robi mój ojciec – ale się nimi opiekuję. Raz po raz zdejmuję którąś z półki i czytam stronę albo dwie. W końcu czytanie to w pewnym sensie opieka. Moi podopieczni, nie tak starzy, by mieć wartość ze względu na wiek, i nie tak ważni, by poszukiwali ich kolekcjonerzy, są mi drodzy, nawet jeśli nie można w nich znaleźć nic ciekawego. Choćby książki zawierały banał na banale, zawsze coś mnie w nich wzrusza. Bo ktoś, kto już nie żyje, kiedyś sądził, że jego myśli są na tyle warte uwagi, aby przelać je na papier.

Ludzie wraz ze śmiercią znikają. Znika ich głos, śmiech, ciepły oddech. Ciało. A w końcu także kości. Giną w niepamięci. To straszne i zarazem zupełnie naturalne. Jednak niektórym z nich udaje się tego zapomnienia uniknąć. Bo istnieją napisane przez nich książki. Możemy ich odkryć. Ich poczucie humoru, ton głosu, nastroje. Poprzez słowo pisane mogą nas zezłościć albo uszczęśliwić. Pocieszyć. Dać nam do myślenia. Zmienić nas. Mimo że są martwi. Jak muchy

zatopione w bursztynie, jak ciała zamarznięte w lodzie. To wszystko, co zgodnie z prawami natury powinno zginąć, zostaje ocalone dzięki cudowi, jakim jest atrament na papierze.

Tak jak inni dbają o groby zmarłych, ja dbam o książki. Odkurzam je, trochę naprawiam, utrzymuję w dobrym stanie. I codziennie otwieram jeden czy drugi tom, czytam kilka linijek albo stronic, pozwalając, aby głosy zmarłych rozbrzmiewały w mojej głowie. Czy oni to czują, ci nieżyjący pisarze, gdy ich książki są czytane? Czy ciemność, w której są pogrążeni, rozjaśnia się błyskiem światła? Czy ich duszę porusza ulotny dotyk innego umysłu, czytającego, co napisali? Mam taką nadzieję. Bo zmarli muszą być bardzo samotni.

Jednak pisząc o swoich pasjach i zainteresowaniach, wiem, że odwlekam chwilę, gdy będę musiała przejść do kwestii zasadniczej. Nie lubię mówić o sobie i wygląda na to, że przezwyciężając wrodzoną powściągliwość, opowiadam o wszystkim, byle tylko nie wspominać o tym, co w tej historii odegrało zasadniczą rolę.

Ale przejdę do tego. „Milczenie nie jest naturalnym środowiskiem dla opowieści – powiedziała mi kiedyś pani Winter. – One potrzebują słów. Bez nich bledną, słabną i umierają. A potem człowieka prześladują”.

Racja. Oto więc opowieść o mnie.

Miałam dziesięć lat, gdy odkryłam, że moja matka ma jakiś sekret. A jest to ważne dlatego, że ten sekret należał nie do niej. Tylko do mnie.

Tamtego wieczoru rodzice wyszli. Nie zdarzało im się to często, a jeśli już dokądś wychodzili, wysyłali mnie do sąsiadów, żebym posiedziała w kuchni u pani Robb. Ich dom był taki sam jak nasz, tyle że miał odwrotny rozkład i od tej odwrotności robiło mi się niedobrze, więc gdy rodzice przygotowywali się do wyjścia, zaczęłam ich znowu przekonywać, że jestem już na tyle duża i rozsądna, aby mogli zostawić mnie w domu samą. Nie miałam wielkich nadziei na powodzenie, ale tym razem ojciec się zgodził. Matka też

w końcu ustąpiła, pod warunkiem że pani Robb zajrzy do mnie o wpół do dziewiątej.

Wyszli o siódmej, a ja uczciałam to szklanką mleka, którą wypiałam, siedząc na kanapie i napawając się swoją dorosłością. Margaret Lea, już na tyle duża, żeby zostać w domu bez opieki. Po wypiciu mleka nagle poczułam się znudzona. Co począć z tą nagle zdobytą wolnością? Wybrałam się na obchód swojego nowego królestwa: jadalnia, hol, toaleta na dole. Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem. Nie wiadomo dlaczego przypomniała mi się bajka o wilku i trzech świnkach, która w dzieciństwie budziła we mnie strach – „Jak się nadmę i jak dmuchnę, to z twym domkiem będzie krucho!”*. Wilk bez trudu zdmuchnąłby nasz dom. Jasne, przestronne pokoje były zbyt mało solidne, żeby stawić opór, a meble, lekkie i delikatne, rozsypałyby się jak stos zapalek, gdyby tylko na nie spojrzeć. Tak, taki wilk zmiotłby ten dom ledwie tchnieniem i w jednej chwili pożarłby całą naszą trójkę na śniadanie. Żałowałam, że nie jestem w antykwariacie, bo tam nigdy się nie bałam. Wilk mógłby do woli nadymać się i dmuchać: za tymi wszystkimi książkami, wzmacniającymi mury, ojciec i ja bylibyśmy bezpieczni jak w twierdzy.

Na górze w łazience spójrzałam w lustro. Chciałam się uspokoić, upewnić, że wyglądam na dorosłą. Przechylając głowę raz na lewo, raz na prawo, patrzyłam na swoje odbicie ze wszystkich stron – pragnęłam zobaczyć kogoś innego. Ale wciąż widziałam samą siebie, odpowiadającą spojrzeniem.

Ze swoim pokojem nie wiązałam żadnych nadziei. Znałam każdy jego zakamarek, a on znał mnie; nudziliśmy się w swoim towarzystwie. Pchnęłam więc drzwi do pokoju dla gości. Szafa bez wyrazu i skromna toaletka mówiły kusząco, że możesz tu wyszczotkować włosy i się ubrać, ale człowiek wiedział, że za drzwiami szafy i fron-

*Jennifer Greenway, *Trzy świnki*, przeł. Arlena Sokalska.

tami szuflad kryje się pustka. Łóżko, z prześcieradłem i kocami starannie utkniętymi pod materac i wygładzonymi, nie wyglądało zapraszająco. Cienkie poduszki sprawiały wrażenie pozbawionych życia. Pokój był nazywany gościnnym, ale nie mieszałyśmy gości. Spała w nim matka.

Skonsternowana, wyszłam i stanęłam na podeście schodów.

To jest właśnie to. Rytuał przejścia. Zostać samej w domu. Dołączyłam do grona dorosłych dzieci; nazajutrz będę mogła powiedzieć na podwórku: „Wczoraj wieczorem nie poszłam do opiekunki. Zostałam w domu sama”. Inne dziewczynki spojrzą na mnie wytrzeszczonymi oczami. Pragnęłam tego od tak dawna, a gdy wreszcie moje marzenie się spełniło, nie potrafiłam się tym cieszyć. Spodziewałam się, że dalszy ciąg nastąpi automatycznie, że po raz pierwszy ujrzę tę osobę, którą miałam być w przyszłości. Oczekiwałam, że świat zamiast znajomego, dziecięcego oblicza ukaże mi to dotąd ukrywane, dorosłe. A tymczasem poczułam się młodszą niż kiedykolwiek. Coś było ze mną nie tak? Czy w ogóle kiedyś się dowiem, jak to jest być dorosłą?

Rozważałam przez chwilę, czyby nie pójść do pani Robb. Ale nie. Było lepsze miejsce. Wczołgałam się pod łóżko ojca.

Przestrzeń między podłogą a ramą łóżka się skurczyła, odkąd byłam tam ostatnim razem. W ramię wciskała mi się walizka na wyjazd wakacyjny, tak samo szara w świetle dziennym, jak i tam, w ciemności. Mieściły się w niej nasze wszystkie letnie rzeczy: okulary przeciwsłoneczne, zapasowy film do aparatu fotograficznego, kostium kąpielowy, którego matka nigdy nie nosiła, ale go nie wyrzucała. Po drugiej stronie stało kartonowe pudełko. Pogmerałam palcami przy odchylanych klapach, wetknęłam rękę do środka i zaczęłam tam grzebać. Splątany sznur lampek na choinkę. Pióra z sukienki anioła zdobiącego czubek drzewka. Ostatni raz włożyłam pod to łóżko, jeszcze gdy wierzyłam w Świętego Mikołaja. Już przestałam. Czy to oznaczało dorosłość?

Gramoląc się spod łóżka, potrąciłam stare blaszane pudełko na ciastka. Teraz wystawało spod falbany, którą obszyta była narzuta. Pamiętałam je: znajdowało się tam od zawsze. Obrazek porośniętych sosnami szkockich gór na wieczku, które przylegało tak ciasno, że nie dało się go zdjąć. Odruchowo spróbowałam je podważyć. Pod moimi starszymi, silniejszymi palcami ustąpiło tak łatwo, że się zdumiałam. Pod nim znajdował się paszport ojca i różnego formatu papiery. Formularze, jedne zadrukowane, inne wypełnione ręcznie. Tu i tam podpis.

Dla mnie zobaczyć coś to przeczytać. Zawsze tak było. Przerzuciłam dokumenty. Świadcstwo ślubu rodziców. Świadcstwa urodzenia każdego z nich. Moje świadectwo urodzenia. Czerwony druk na kremowym papierze. Podpis ojca. Złożyłam je z powrotem, dołączyłam do zaświadczeń, które już przeczytałam, i przesłałam do następnego. Było identyczne. Zaskoczyło mnie to. Po co mi dwa świadectwa urodzenia?

Wtedy się zorientowałam. Ten sam ojciec, ta sama matka, ta sama data urodzenia, to samo miejsce urodzenia, inne imię.

Co się ze mną wtedy stało? Wszystko w mojej głowie rozsypało się i złożyło w całość zupełnie inaczej – była to jedna z tych zmian jak w kalejdoskopie, do których zdolny jest umysł.

Miałam siostrę bliźniaczkę.

Nie zważając na zamęt, jaki czułam, rozłożyłam kolejną kartkę. Świadcstwo zgonu.

Moja siostra bliźniaczka nie żyła.

Teraz wiem, że to w jakiś sposób mnie naznaczyło.

Choć byłam oszołomiona tym odkryciem, tak naprawdę się nie zdziwiłam. Bo zawsze coś przeczuwałam. Wiedziałam, że coś jest na rzeczy – było to przeświadczenie zbyt oczywiste, żeby ujmować je w słowa. Inna jakość powietrza po mojej prawej stronie. Odmienne natężenie światła. Coś szczególnego, co powoduje wibracje w pustej przestrzeni. Mój błąd cień.

Przyciskając ręce do lewego boku, pochyliłam głowę, tak że nosem niemal dotknęłam ramienia. Był to dawny odruch, robiłam tak zawsze, gdy czułam ból, gdy coś wytrąciło mnie z równowagi, gdy działałam pod przymusem. Zbyt znajomy, żeby się nad nim zastanawiać, aż do tej chwili, kiedy moje odkrycie ujawniło jego sens. Szukałam mojej siostry bliźniaczki. Tam powinna być. Tuż przy moim sercu.

Kiedy zobaczyłam te dwa dokumenty i świat powoli znowu zaczął się kręcić, pomyślałam: A więc to jest to. Poczucie straty. Smutek. Samotność. Wrażenie, które przez całe życie odciągało mnie od innych – nieustannie mi towarzysząc – teraz, gdy znalazłam te świadectwa, wreszcie się wyjaśniło. Moja siostra.

Po dłuższym czasie dobiegł mnie odgłos otwieranych na dole drzwi do kuchni. Czując mrowienie w łydkach, wyszłam na podest – u podnóża schodów zobaczyłam panią Robb.

– Wszystko w porządku, Margaret?

– Tak.

– Potrzeba ci czegoś?

– Nie.

– W razie czego przyjdź.

– Dobrze.

– Niedługo wrócą... mama i tata.

I sobie poszła.

Schowałam dokumenty do pudełka, które wstawiłam z powrotem pod łóżko. Opuściłam sypialnię, zamykając za sobą drzwi. Przed lustrem w łazience przeżyłam wstrząs, gdy mój wzrok napotkał oczy tej drugiej. Pod wpływem jej spojrzenia drgnęła mi twarz. Poczułam pod skórą kościc.

Wreszcie usłyszałam kroki rodziców na schodach.

Wyszłam z łazienki i ojciec uściskał mnie u szczytu schodów.

– Dałaś sobie radę – zauważył. – Świetnie.

Matka była blada i zmęczona. Wyjście z domu jak zwykle przyprowadziło ją o migrenę.

– Tak – potwierdziła. – Dobra dziewczynka.
– No i jak było, kochanie? Jak to jest zostać samej w domu? – spytał.

– Fajnie.

– Tak myślałem – odrzekł. A potem, nie mogąc się powstrzymać, znów serdecznie wziął mnie w objęcia i pocałował w czubek głowy. – Pora iść do łóżka. Tylko nie czytaj zbyt długo.

– Dobrze.

Później słyszałam, jak rodzice przygotowują się do snu: ojciec otwiera apteczkę, żeby przynieść matce jej pigułki, nalewa wody do szklanki. I jego głos, gdy mówił jak zwykle: „Rano poczujesz się lepiej”. Potem drzwi do pokoju gościnnego zostały zamknięte. Po chwili zatrzeszczało łóżko w sąsiednim pokoju i rozległo się pstryknięcie, kiedy ojciec włączył lampkę.

Wiedziałam co nieco o bliźniętach. Z komórki, z której zwykle powstaje jedna osoba, w niewyjaśniony sposób rozwijają się dwie.

Byłam jedną z bliźniaczek.

Moja siostra zmarła.

Więc kim się stałam?

Leżąc pod kołdrą, przycisnęłam dłoń do srebrnoróżowego półksiężycy z boku klatki piersiowej. Ślad po mojej siostrze. Jak archeolog poszukujący świadectw dawnej historii, zaczęłam badać swoje ciało. Było zimne jak u trupa.

*

Z listem w dłoni opuściłam antykwariat i ruszyłam na górę do swojego mieszkania. Schody zwęzły się na każdej z trzech kondygnacji zastawionych książkami. Idąc i wyłączając za sobą światła, zaczęłam formułować list z uprzejmą odmową. Jestem – mogłam odpisać pani Winter – nieodpowiednią biografką. Nie interesuje mnie literatura współczesna. Nie przeczytałam żadnej pani książki. Moje miejsce jest w bibliotekach i archiwach, nigdy nie przeprowadzałam

wywiadu z żyjącym pisarzem. Lepiej się czuję w towarzystwie zmarłych i prawdę mówiąc, boję się żywych.

Choć może niekoniecznie musiałam podawać w liście ten ostatni powód.

Nie chciało mi się przygotowywać nic na kolację. Uznałam, że kubek kakao mi wystarczy.

Gdy podgrzewało się mleko, wyrzałam przez okno. W szybie ukazała się twarz tak blada, że widziało się przez nią ciemne nocne niebo. Przytknęłam policzek do tamtego drugiego, zimnego, ze szkła. Gdybyście zobaczyli nas wtedy, wiedzielibyście, że jeśli nie byłoby tej szyby, nie dałoby się nas odróżnić.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).